TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:

Jerzy Benedict
Witold Domański
Witold Leitgeber
Ryszard Mossin
Stanisław Stroński
Marjan Raczyński

Vol. 2. Nr. 39 (91) Nowy Jork, 1 października — New York, 21, N. Y., October 1st, 1944. Cena 15 ct.



KAPLICA ZYGMUNTOWSKA NA WAWELU

POMOC DLA WARSZAWY

Warszawie udzielona została pomoc. Niepomiernie późno, po wielu tygodniach, które kosztowały życie wielu tysięcy jej mieszkańców, które napełniły cały naród polski goryczą i niejednego złamały moralnie. Ale pomoc nadeszła i w tej chwili nie zapominając bynajmniej o przeszłości, z której należy wyciągnąć ważną naukę, chcemy wyrazić wdzięczność żołnierzom, którzy tę pomoc nieśli i niosą, uczcić tych, którzy, niosąc ją, oddali życie. Wierzymy, że zgodnie z danemi z wysoka zapewnieniami i w odpowiedzi na stałe domagania się Warszawy — pomoc ta nie ustanie ani na chwilę, dopomagając gen. Borowi do zwycięstwa, a mieszkańcom Warszawy pozwalając go doczekać. Jeżeli mówimy — iż nie zapominamy bynajmniej o przeszłości, do czego nas w przemówieniu swem nastrojonem na sielankową nutę wzywa pan premjer Mikołajczyk — to bynajmniej nie czynimy tego jedynie z jakichś uczuciowych względów, które w tym wypadku są zresztą ze wszech miar usprawiedliwione i najbardziej chwalebne. Czynimy to przedewszystkiem ze względów najzupełniej rozumowych, pedagogicznych i politycznych — w świadomości, że polityka jest sztuką, zarówno zapomnienia jak pamiętania. Otóż prawdą bijącą w oczy, której nic zaprzeczyć nie zdoła — jest fakt, że pomocy dla Warszawy zażądała opinja publiczna w Ameryce i Anglji wzburzona losem naszej stolicy i postawiona wobec faktów, mogących rzucić cień na Narody Zjednoczone, stać się plamą na sumieniu tych narodów.

Los Warszawy stał się przysłowiową kroplą, przeważającą czarę nagromadzonej w Polakach goryczy. Sama Warszawa przemówiła głosem wspaniałej i dumnie pewnej siebie, słuszności, a na jej głos odezwali się wszyscy prawdziwi Polacy, Amerykanie Polskiego Pochodzenia również i odrazu.

Polacy z politycznego uchodźtwa żyjący poszarpanemi nerwami, troską o swój los, co znaczy często o swoje zagrożone subsydja — tym razem zrozumieli wagę chwili, przestali głupio mędrkować i powierzyli się zdrowemu instynktowi, poczuciu krzywdy i niesprawiedliwości. Pod protestami, które posypały się zewsząd, znaleźliśmy nazwiska działaczy i pisarzy, którzy dotąd wyróżniali się stoickiem przyjmowaniem wszystkich spadających na nas ciosów i zniewag, jako dopustu należnego krajowi imperjalistów i maksymalistów. I oto skoro Polacy dali się ponieść swemu zdrowemu instynktowi i przełamali owo narzucone im jako przykazanie mądrości politycznej — milczenie o ciężkich i niepojętych krzywdach polskich — okazało się, że w Ameryce i Anglji istnieje potężny prąd zdrowej opinji publicznej, dla której względy moralne, dbałość o honor i dane słowo, z rozumu płynąca troska o przyszłość świata nie są bynajmniej pustemi słowami; te głosy prasy angielskiej, które nas doszły, to cośmy czytali — tutaj w Ameryce, co słyszało się od ludzi ważnych i zwykłych — pozwala nam powiedzieć wręcz, że wszystko, co jest w Ameryce i Anglji szlachetne, bądź wystąpiło przeciw krzywdzie Polski, bądź też głęboko ją odczuło. Depesza prezydenta Roosevelta i króla Jerzego do prezydenta Raczkiewicza są dowodem, że ten właśnie prąd szlachetny — powinien być uważany za głos istotnej opinji obu wielkich krajów.

Z tego stwierdzenia płynie nauka, której nie wolno nam zapominać, nie wolno niezrozumieć. Polska znajduje się w sytuacji, którą słusznie porównujemy z najgorszemi chwilami jej historji, że zaś nam ją właśnie przychodzi przeżywać — tembardziej uważamy te chwile za najstraszliwsze w naszych dziejach. Ale sytuacja nasza nie jest wcale beznadziejna. Przestać wierzyć, to znaczy przestać walczyć, poddać się naszym wrogom, mającym oczywisty interes w tem, aby nas złamać moralnie, odebrać nam świadomość atutów, jakie mamy w ręku, dróg zbawienia, które stoją przed nami. To właśnie wrogowie Polski — co jest teraz jednoznaczne — wrogowie prawdziwej wolności — wmawiają w nas bądź, że Anglja i Ameryka myślą tylko o swoich na krótką metę interesach, bądź też że są tak słabe wobec rosyjskiego kolosa — iż nic nie są w stanie przeciw jego woli przeprowadzić. Mówić o słabości Ameryki — dziś po zdobyciu Rzymu, Paryża, Brukseli — można już chyba tylko dzieciom z bolszewickich szkółek, reakcja zaś opinji anglosaskiej na opuszczenie Warszawy — jest dowodem, że nieprawdą jest też, aby te wielkie kraje nie myślały o przyszłości własnej i przyszłości świata.

Pomoc Warszawie dana została dlatego, że Polacy powiedzieli prawdę o swej krzywdzie, upomnieli się o nią i że opinja Ameryki i Anglji stanęła za nami. Gdyby nawet jak nietórzy przypuszczają okazało się, że rząd polski obiecał jakąś polityczną zapłatę za tę pomoc — świadczyłaby to tylko, że rząd nie po raz pierwszy nie zrozumiał siły naszej sprawy, nie zmieniłoby to przecież faktu, że ustępstw niezgodnych z naszą suwerennością naród polski nigdy nie uzna, jak też tej prawdy, że poraz pierwszy bodaj od bardzo dawna wygraliśmy, bośmy odważnie powiedzieli prawdę.

Z tego stwierdzenia wypływają ważne wnioski dla pojęcia co jest przedewszystkiem obowiązkiem naszej politycznej emigracji. — To co do nas, do rządu i do opinji polskiej w Anglji i Stanach należy — to mówienie prawdy o Polsce w tych krajach naprawdę wielkich, to bronienie wobec nich sprawy Polski wszelkimi dostępnemi nam środkami.

STANISŁAW STROŃSKI

Cztery zasady czy... jedna?

Postanowienia i załatwienia powojenne, na rzecz nowego ustroju współżycia międzynarodowego będą dotyczyły z jednej strony państw nieprzyjacielskich, które wojnę wywołały, a z drugiej strony państw sprzymierzonych, które w niej ucierpiały i walczą o swe wskrzeszenie.

W stosunku do państw nieprzyjacielskich zastosowane będą niewątpliwie dwie zasady przewodnie:

1. odpowiedzialności za zło które wyrządziły,

2. unieszkodliwienie na przyszłość.

Zasada odpowiedzialności za rozpętanie wojny była uznana za podstawową już po wojnie poprzedniej 1914-18 i została wprowadzona w art. 231 Traktatu Wersalskiego, który głosi, że Niemcy są odpowiedzialni za wywołanie wojny swą napaścią.

Wynikiem tej zasady było, a raczej powinno było być, ukaranie zbrodni wojennych odszkodowania i rozbrojenie. Niemcy bronili się przeto zawzięcie przeciw pozostawieniu w traktacie art. 231 jako podstawie zarządzeń karnych, odszkodowawczych i zabezpieczejących. Tego nie uzyskali, art. 231 pozostał w Traktacie Wersalskim i Niemcy musiały podpisać jego przyjęcie. Ale powiodło im się uzyskać usunięcie pierwotnie zamierzonego sądzenia międzynarodowego i karania zbrodni wojennych, a wykonanie postanowień o odszkodowaniach i o rozbrojeniu nie zostało należycie zapewnione. Z tego powodu także druga zasada, unieszkodliwienia na przyszłość, rozwiała się i następstwem jest wojna obecna.

Tym razem, pod naciskiem dużo większych zbrodni w rozpętaniu wojny oraz w sposobie jej prowadzenia i postępowania w krajach zajętych, a zarazem w świetle doświadczeń z niedociągnięć poprzednich, zasady odpowiedzialności i unieszkodliwienia będą przeprowadzone niewątpliwie z bszwzględną stanowczością i dokładnością wobec Niemiec i wobec Japonji, a w odpowiedniej mierze dotkną także te państwa, które im pomagały i z niemi współdziałały.

A jakie zasady wejdą w zastosowanie wobec narodów sprzymierzonych czyli w gronie Narodów Zjednoczonych między sobą?

Niewątpliwie dwie:

1. poszanowanie praw i naprawienie doznanego zła, krzywd i strat,

2. uznanie podstawy i działania dla wspólnej sprawy.

Pierwsza zasada znalazła już wyraz, jako zobowiązanie wzajemne Narodów Zjednoczonych wobec siebie w Karcie Atlantyckiej z 14 sierpnia 1941 przyjętej i podpisanej 1 stycznia 1942 przez wszytkie Narody Zjednoczone jako podstawa współdziałania w Wielkim Przymierzu. Art. 2gi Karty Atlantyckiej odrzuca wszelkie zmiany obszaru, dokonane przeciw narodom zjednoczonym w czasie wojny, a art. 3 zapewnia im przywrócenie niepodległości i suwerenności, której zostały pozbawione, oraz swobody nadania sobie ustroju wedle własnej woli. Więc np. w stosunku do Polski znaczy to, że obszar Rzeczypospolitej z 1 września 1939 nie może być okrojony, nietylko na rzecz Niemiec, lecz także na rzecz Rosji, jak wyraźnie stwierdzają osobne oświadczenia rządowe brytyjskie i amerykańskie w chwili zawierania układu polsko-rosyjskiego z 30 lipca 1941. Znaczy to zarazem, że ciągłość prawna ustroju Polski i jej władza musi być uszanowana i nic innego nie może być narzucone. Właściwie uczynienie zadość tej pierwszej zasadzie, poszanowanie praw i naprawy zła, załatwia wszystko, a w każdym razie to co najważniejsze.

Nieobojętna jest jednak i druga zasada, uznania postawy politycznej i działań odpornych każdego z narodów zjednoczonych dla wspólnej sprawy. Tu Polska, przez stanowisko kraju i wysiłek zbrojny, zajmuje bardzo wysokie miejsce jako kraj bez Quislinga i Ojczyzna lotnika, marynarza i żołnierza polskiego na boiskach tej wojny. Przyłożenie tej miary, której się nie uchyli, gdyż tkwi ona na szczęście, w umysłach świata, nie wyjdzie nam, dalibóg, na złe i jeśli nie zazna krzywdy żaden z krajów europejskich ogarniętych najazdem, sumienie świata nie dopuści też krzywdy Polski.

Czy mam do tch uwag dodać przypisek, który niejednemu ciśnie się na myśl?

— Wszystko to dobrze — powie ktoś — te zasady odpowiedzialności, unieszkoliwienia, poszanowania praw, uznania ofiar i wytrwałości, ale nie to będzie rozstrzygało, lecz siła.

Gdyby tak być miało, to czy ta wojna byłaby naprawdę wygrana?

I gdzie cztery wolności bez tych czterech zasad?

Przekreślmy ten wrażу przypisek.



Żołnierze polscy we Włoszech są przyjaciółmi ludności

RYSZARD MOSSIN

WYWALCZYLI DROGĘ INNYM, SAMI PADLI WCZEŚNIEJ

Wąską, stromą ścieżką pniemy się pod górę. Na rozstaju z główną drogą tabliczka: Cassino — 6 klm. Idziemy między żołnierzami, którzy niosą z sobą tylko najbardziej potrzebny osobisty ekwipunek i broń. Resztę ich rzeczy, żywność, amunicję i wodę wiozą na swych grzbietach muły, prowadzone pzez Cypriotów. Co noc taka kawalkada mułów i ludzi wędruje do góry i przed świtem musi wracać na dół, bo tylko w nocy można się poruszać tą drogą, która jest jedyna, a jednocześnie tak bardzo wystawiona na działanie niemieckiej artylerji. Leżące z obu stron drogi trupy mułów świadczą, że nie wszyscy z wyprawy takiej powracają. Moździerze niemieckie strzelają bez przerwy i trzeba iść bardzo wolno, zachowywać bezwzględną ciszę, od czasu do czasu przykucnąć pod jakąś skałą lub paść na ziemię.

Cypriosi są odważni i pracują ofiarnie. Były wypadki, że na własnych barkach zanosili na górę bagaże, które zdjęli z zabitych po drodze mułów.

Co dwieście metrów mijamy umieszczone w prowizorycznych schronach punkty sanitarne. W każdym takim schronie jest czterech sanitarjuszy, nosze i najniezbędniejsze środki opatrunkowe. Systemem sztafetowym przenosi się rannego z linji frontu w dół. Ze względu na stromość ścieżki trzeba go nieraz sznurami przywiązywać do noszy. Przy pracy tej nie ma czasu aby pamiętać o zachowaniu ostrożności. To też duży procent sanitarjuszy pada ofiarą, spełniając swą pracę — żołnierzy pierwszej linji.

Przed rozpoczęciem wspinaczki, gdy jeszcze świeciło słońce, oglądaliśmy z punktu obserwacyjnego klasztor Benedyktynów, a właściwie jego ruiny, tę masę gruzów, która od wielu miesięcy przykuwa uwagę całego świata. Wszystkie pasma górskie, otaczające klasztor, są w rękach niemieckich. W dole zniszczone kompletnie miasto Cassino, o którym komunikaty jeszcze dziś mówiły, że walki trwają dokoła hotelu Continental i Monte Rosa.

Całe podnóże góry tonie w obłokach zasłony dymnej. To jedynie zabezpieczenie się przed wglądem Niemców na nasze stanowiska. W świetle zachodzącego słońca góra wygląda jak wielka wyspa na oceanie, tak bardzo dymy imitują wodę.

Do zboczy tych przywarły teraz nasze oddziały. Dużo odwagi, dużo zimnej krwi i opanowania nerwów trzeba, aby wśród ustawicznego ognia artylerji i moździerzy utrzymać swe stanowiska. To jest dopiero pierwsze stadjum walki, w której nie ma jeszcze miejsca na pojedyńcze brawurowe czyny, na szaleńcze wyprawy, któreby przyniosły rozgłos pojedyńczym żołnierzom. Z tego miejsca pójdzie dopiero za parę dni decydujące natarcie. Z tego miejsca nie wolno się więc cofnąć, nie wolno zdradzić swej obecności i mimo że nieprzyjaciel strzela do nas bez przerwy, trzeba teren ten kurczowo trzymać, nie zważając na liczne, codzienne ofiary.

Jest coś niesamowitego w tym spokoju, z jakim ogół kolegów zmarłych przyjmuje wiadomość o nowych ofiarach. Do schronu, w którym mieści się dowództwo batalјonu, wchodzi lekarz i składa na stole przed pułkownikiem znaki tożsamości tych, którzy padli w ciągu ostatnich godzin. Straszne prawo śmierci przytępiło tu wrażliwość ludzką na śmierć i rany. na chwilę milkną telefony, na chwilę przerywa się pisanie rozkazu, by przypomnieć sobie kiedy i w jakich okolicznościach widziano tych ludzi, ale już idzie dalsza praca, już głowy pochylają się nad mapami, gońcy wychodzą z rozkazami.

Lekarz dyżuruje w małym schronie i udziela rannym pierwszej pomocy, tamuje upływ krwi, daje zastrzyki, transfuzje plazmy. Zaraz po tym sztafety znoszą rannego w dół, gdzie są już punkty sanitarne i można operować. Na każdym z etapów tej drogi chory narażony jest na nowe ostrzeliwania, na wstrząsy, na powtórzenie się szoku nerwowego, zwłaszcza gdy znów usłyszy huk dział. Rany są ciężkie, rany od pocisków, a nie kul karabinowych.

Na polanie koło dowództwa bataljonu jest zupełnie ciemno. A jednak gońcy pzenoszą rozkazy, dowódcy kompanji przychodzą do bataljonu i wracają z powrotem na stanowiska, kolumny mułów rozdzielają sę w rozmaite strony, całe oddziały przenoszą się na inne miejsca. W dzień ruch zamiera zupełnie. Na prawe skrzydła bataljonu Niemcy próbowali dziś nacierać. Musieli prawdopodobnie podczołgać się bardzo blisko, bo strzały z karabinów i granaty rzucono nie dalej, niż z odległości 3z metrów. Nasi żołnierze dostali rozkaz zachowania absolutnej ciszy, by nie zdradzić swoich stanowisk. Nie oddano ani metra zbocza, ale kosztowało to znów wiele ofiar.

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Editor:
Jan Lechoń

Subscription:
Monthly 60 cents
Half yearly $3.50 Yearly $7.00

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"

Oficerowie, którzy pracują przy małym świetle lampki naftowej w schronie, mają oczy poczerwienione, — ślad bezsennych nocy. W pewnej chwili cały schron zaczął tańczyć. — Prąd powietrza z olbrzymią siłą zerwał koce, okrywające wejście, dwa worki z piaskiem zleciały na ziemię. Pył kurzu wdarł się do środka. Pocisk artyleryjski uderzył kilka metrow od dowodztwa. Tym razem szczęśliwie nie trafił nkogo.

Z bataljonu drogą wśród skał, potykając się co chwila w ciemnościach, idziemy do kompanji, która od sześciu dni leży w prowizorycznych schronach na stoku góry. Po drodze mijamy cmentarz. Leżą tu ci, którzy polegli w lutym, marcu i kwietniu, żołnierze innych armji sprzymierzonych, które przed nami walczyły na tym odcinku. Nie wszystkich zresztą zdołano pochować. Czasem ogień artylerji był tak silny, że musiano ciała pozostawić na miejscu walk. Toteż wśród skał i kameni często można się w ciemnościach potknąć o trupa zabitego Hindusa, Kanadyjczyka, Anglika czy Amerykanina. Między puszkami od konserw (konserwy są tutaj jedynym pożywieniem żołnierza) porzucone hełmy, buty, zużyte naboje, granat, części garderoby. Powietrze przesycone jest zapachem zgnilizny, pomieszanej z prochem.

Każą nam wpełznąć do jednego ze schronów. Z zewnątrz okryty on jest celtą i workami z piaskiem. Miejsca mało, można tylko leżeć zgiętym wpół. Na ziemi leżą koce. Na tych kocach leżeli tu już żołnierze różnych dywizji, które tu były od grudnia. O wytrzepaniu tych koców lub zmianie nie ma oczywiście mowy. Tak samo zresztą o myciu, zmianie bielizny, załatwianiu naturalnych potrzeb. Do tego służą jakieś puszki, albo butelki, które następnie wyrzuca się. Zachowanie higjeny i ustrzeżenie się od robactwa

wykluczone. Ciepła strawa przyrządzana jest tylko w nocy na t. zw. Tommy Coockerach (maszynka spirytusowa, opalana bezdymnym proszkiem).

Dopóki jest ciemno można spacerować od schronu do schronu, popijać herbatę, rozmawać z żołnierzami. Odwiedza nas w schronie dowódca kompanji, jego zastępca, dowódcy plutonów, podchorążowie, szeregowi. Opowiadają, że npl strzela z trzech stron, że jest w odległości 70 metrów, że widzi i słyszy wszystko i dlatego trzeba w dzień leżeć bez ruchu, rozmawiać szeptem, chodzić w gumowych pantoflach, nie wychylać głowy, bo najmniejszy ruch powoduje reakcję npla.

I rzeczywiście tak bez ruchu przeleżałem w tym schronie cały następny dzień, słuchając huku dział obu stron. Gdy zaczęło się ściemniać, kompanja oddawała stanowiska innej, a sama zeszła do wąwozu, w którym prawdopodobieństwo trafienia miało być przez kilka dni mniejsze.

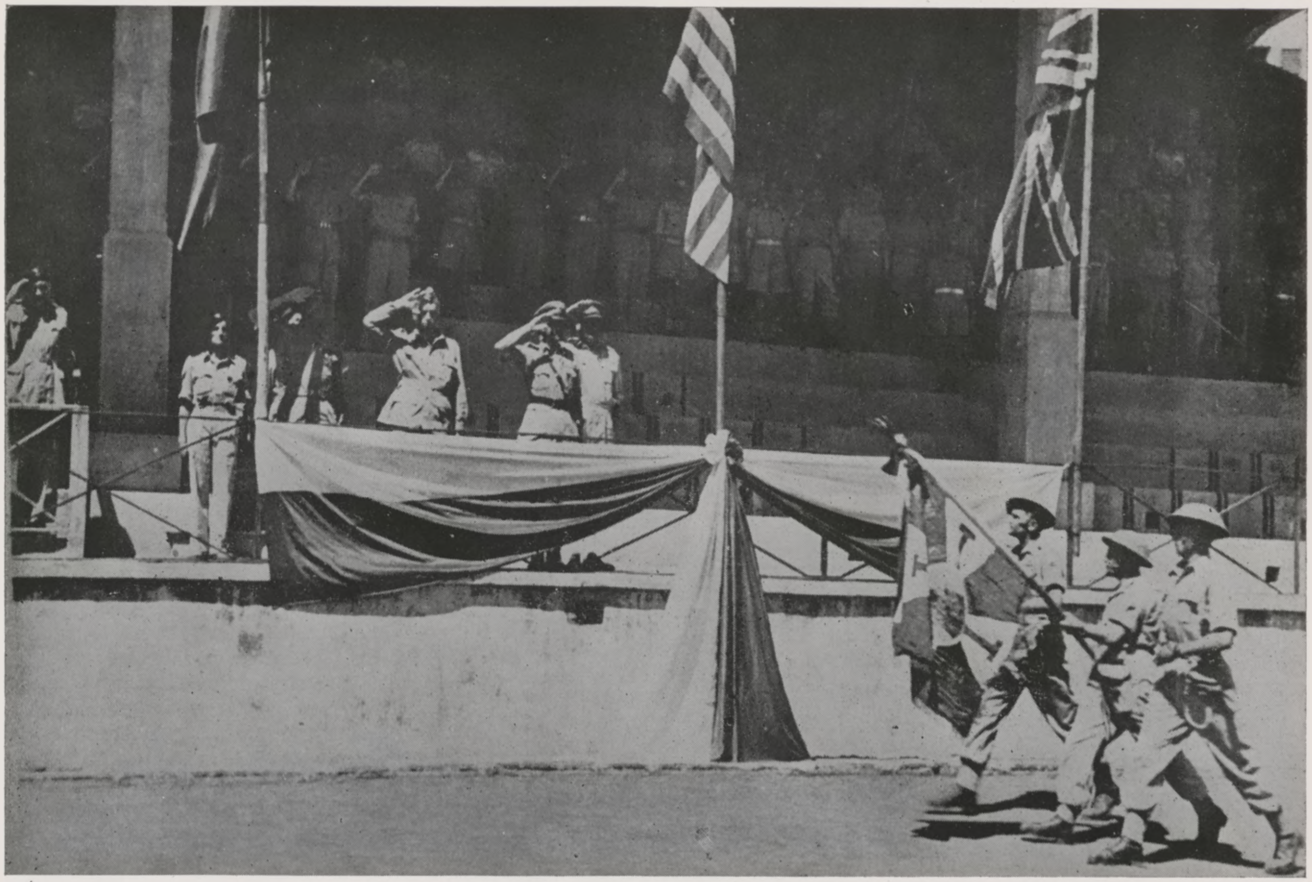
Po raz pierwszy od sześciu dni żołnierze tej kompanji mogli zdjąć bieliznę, umyć się i ogolić. Ich twarze były brudne od kurzu i gęsto zarośnięte. Ale imponowały humory i dobry nastrój. Asystowaliśmy jakby ich powrotowi do życia.

Za parę dni wrócimy do "Cassina" na piwo-mówili.

Spędziłem jeszcze jedną noc w kompanji. Noc, która upłynęła w całości na rozmowach, na wspomnieniach przeszłości. Dowódca kompanji był krakowianinem, mówiło się więc o Krakowie. Jeden z podchorążych interesował się problemami metafizyki, młody porucznik robił w swym notesie zapiski ze swych przeżyć bojowych. Namówiłem go, by dał je do druku. Gdy się rozwidniło, zaczął przepisywać. Zabrałem je później z sobą i posłałem do Parady. Zrobiliśmy kilka pamiątkowych zdjęć. W ciągu tych 48 godzin poznaliśmy się tak, jakbyśmy znali się już dawno.

Miałem wrócić do tej kompanji za kilka dni, gdy zacznie się natarcie. Nie poszedłem. Bo nie zastałbym już ani dowódcy, który tak pięknie mówił o Krakowie, ani tego podchorążego, który interesował się metafizyką, ani autora feljetonu, zamieszczonego w Paradzie, ani tylu, tylu innych.

Zginęli prawie wszyscy w pierwszym, szaleńczym natarciu na górę. Po ich trupach poszli następni. A kiedy 18 maja, w jasnym dniu zajęcia góry klasztornej, schodziłem z jej szczytu, na cmentarzu, który pokazywano mi wtedy w nocy, zobaczyłem cały rząd nowych, białych krzyży, a na nich napisane znajome nazwiska ludzi, z którym przyjaźń moja trwała tylko 48 godzin.



Dywizja Karpacka, powstała z dawnej Brygady Karpackiej, ma szczególnie bohaterską kartę w dziejach zwycięstw Drugiego Korpusu we Włoszech. Oto sztandar tej Dywizji w defiladzie, która się odbyła niedawno przed wodzem frontu włoskiego generałem Haroldem Alexandrem i naszym Wodzem Naczelnym gen. Sosnkowskim. Za niemi widoczni na trybunie: dowódca Ósmej Armji Brytyjskiej generał Sir Oliver Leese i Dowódca Drugiego Korpusu Gen. Anders.

JERZY B. BENEDICT

Wspomnienie o prof. Józefie Birkenmajerze

Pamiętam go jak przechadzał się po ulicy Grottgera na Mokotowie w pierwszych dniach wojny. Właśnie niedawno wrócił był z Ameryki gdzie wykładał literaturę słowiańską na uniwersytecie w Madison, Wisconsin.

Półmrok wieczorny czaił się w okienkach piwnicznych i w wązkich zaułkach, pełzał wzdłuż rynsztoków, suwał się po bruku, wieszał się po gzymsach kamienic. Nie wolno było zapalać świateł. Ciemne latarnie uliczne, niby nieme olbrzymy, dumały na skraju trotuaru. Okna szczelnie pozasłaniane roletami nie rzucały żadnych blasków. Świeciły się tylko niebieskie lampki przy bramach domów. W ciszy rozlegały się głośno miarowe uderzenia butów o płyty chodnika. To profesor Birkenmajer przechadzał się tam i z powrotem w pobliżu swego mieszkania. Widziałem jego surową twarz i zmarszczone brwi kiedy przechodził pod oknami mojego pokoju. Nasunięte na nos okulary szkliły się blado w głębokim cieniu pod drzewkami; kędzierzawa czupryna przydawała mu wyglądu uczonego. A był to uczony niepośledni. Z powołania będąc polonistą znał również kilka języków obcych znał wszechstronnie literaturę tychże języków, a pozatym był to historyk, pisarz i po części poeta, oraz tłumacz książek obcych na język polski. Człowiek ten był nieustannie zamyślony. Bezgranicznie oddany literaturze w myślach odrywał ię zupełnie od otaczającego go świata i pozostawał długo w rozważaniach kto wie nad iloma i jakimi problemami. Nie raz wracając ze szkoły lub ze sklepu, widziałem jak profesor Birkenmajer śpieszył do domu z jednej z uczelni, żeby pobyć kilka minut w gronie swojej rodziny. Szedł szbko, z teczką w ręku, zamyślony jak zwykle. Często mówił ze sobą półgłosem i myślę, że najczęściej nie zdawał sobie sprawy z tego co działo się wokoło niego. Przez pewien czas uczył jednocześnie w dwóch szkołach: jednej żeńskiej, drugiej męskiej. Uczniowie i uczennice tych szkół wymieniali ze sobą listy używając kieszeni w płaszczu profesora zamiast skrzynki pocztowej.

Profesor Birkenmajer był bardzo religijny. Co niedziela widywałem całą jego rodzinę w kościele na ulicy Chełmskiej. Sam zwykł był zostawać nie na jedno ale na dwa nabożeństwa a często w niedzielę pozostawał w kościele na medytacjach w ciągu trzech i czterech nabożeństw pod rząd. Choć tak bardzo zajęty, w dnie powszednie znajdował czas na to żeby wstąpić do kościoła, by w poważnym mroku kamiennej świątyni zwierzyć się Bogu z trosk i znów pokrzepionym wyjść na gwarne miasto. Profesor Birkenmajer nigdy nie robił różnic klasowych między ludźmi. Śmieciarz czy wysoki urzędnik, wszyscy w jego oczach zasługiwali na szacunek należny człowiekowi.

Profesor Birkenmajer wykładał w tem samem gimnazjum do którego uczęszczałem (gimn. Mazowieckie). Nasza klasa, znana w szkole jako najbardziej niesforna, dawała się we znaki i naszemu poloniście, który był zbyt dobry na to, żeby kogokolwiek karać. Szanowaliśmy go jednak wszyscy i słuchaliśmy z zainteresowaniem jego pięknych wykładów. Zresztą nie powinien był zaprzątywać sobie głowę takimi smarkaczami jak my. Miejscem dla niego był uniwersytet.

Profesor Birkenmajer, jeden z najwybitniejszych polonistów w Polsce, nie miał za grosz zmysłu praktycznego, nie umiał rozpychać się łokciami To też cierpiał niedostatek. Ojciec sześciorga dzieci mieszkał z rodziną w trzypokojowym apartamencie i musiał ciężko pracować na chleb dla swych pociech. W żonie miał szczerego przyjaciela. Profesor Birkenmajer wykładał od rana do nocy w różnych uczelniach, a poza tym tłumaczył książki, pisywał artykuły i studjował literaturę. Pracował tak mimo tego, że był chory na serce i miewał ataki sercowe. Widziałem raz w szkole jak nagle zbladł, posiniał, kroplisty pot wystąpił mu na czoło, wypuścił książkę z ręki. Koledzy wyprowadzili go z klasy do pokoju nauczycielskiego. Po godzinie znowu słyszeliśmy jego głos w sąsiedniej klasie. Nie raz prosiliśmy go żeby nam opowiedział coś ze swoich przeżyć na Syberji. Wtenczas na poważnej twarzy profesora odmalowywało się coś jakby smutek lub zasępienie.... Uśmiechał się do nas jak do dzieci i proponował przeczytać nam zajmującą powiastkę z podręcznika.

Podczas wakacji wyjechał do Stanów Zjednoczonych i nie widzieliśmy go przez dwa lata. W listach wyrażał tęsknotę do kraju ojczystego. Nigdy nie oswoił się z Ameryką. Odczuwał też dotkliwie brak obecności swej małżonki. Wrócił do Warszawy na parę miesięcy przed wybuchem wojny. I oto jak mi najlepiej utkwił w pamięci: właśnie wtedy kiedy w pierwszych dniach bombardowania Warszawy przechadzał się po kamiennym trotuarze wzdłuż ulicy Grottgera na Mokotowie. Kilka dni potem znikł. Tyle widziałem kochanego profesora.

Nadeszły ponure czasy wojny. Warszawa płonęła. Wśród płomieni wznosiły się fantastyczne ruiny. Niektóre jak gigantyczne pięści sterczały wysoko niby grożąc miastu zagładą. Z piwnic dochodziły jęki rannych. Na czerwonym tle nieba wyły czarne maszyny.

Pewnego rana śmiertelna cisza zbudziła obrońców zgliszcz. Syczały tylk krwawe ozory ognia; co chwila rozlegał się głuch łoskot walącego się gmachu. Był to dwudziesty siódmy września 1939 roku. Odtąd tydzień po tygodniu, dzień po dniu szerzyły się coraz liczniejsze wieści opiewające czyny tysięcy bohaterów. Wśród nich wyłowiłem dwie o profesorze Birkenmajerze. Obie zgadzają się co do faktu, że profesor Birkenmajer koniecznie pragnął zaciągnąć się do wojska, żeby czynnie bronić ojczyzny. W tym celu chodził od urzędu do urzędu, ale nikt nie chciał przyjąć do wojska człowieka chorego na serce. Od kwatery do kwatery, poprzez palące się ulice, nie bacząc na kule ani na walące się domy, czcigodny uczony wędrował niepomny na nic, byle tylko zaciągnąć się do armji. O ile sobie przypominam miał nawet rangę porucznika rezerwy, więc znał się na sztuce wojennej i nie mógł dłużej znieść przymusowej bezczynności. Jedna z wersji mówi dalej, że znajdując się raz w blizkości Cytadeli, trafiony kulą w bok został zabity na ulicy. Druga wersja jest bardziej piękna i według mnie bardziej bliska prawdy, bo znam romantyczną naturę profesora Birkenmajera. Otóż kiedy zaczęły się tworzyć cywilne grupy ochotnicze sam zorganizował oddziałek obrońców stolicy poczem obwarował solidnie jeden z dworców kolejowych (podobno dworzec wileński) i na czele oddziału bronił swego odcinka na przedmieściu Wielkiej Warszawy. Tam to, gdy trwał na posterunku, odłamek szrapnelu zabił profesora Birkenmajera rozrywając mu bok. Bez względu na to która wersja jest prawdziwa, acz ta druga brzmi bardziej pięknie, profesor Birkenmajer zginął na polu chwały.

A rodzina? Rozmawiałem z dziećmi profesora Birkenmajera na krótko po tragedji. Są dumne z tatusia, że zginął dla Polski. Kiedy przyjaciele poległego przyszli z wyrazami współczucia do jego małżonki, powiedziała tylko: "Ale prawda, że miał ładną śmierć?... Dla Polski..."

WITOLD LEITGEBER

WŚRÓD JEŃCÓW W NORMANDJI

W. Brytanja, sierpień, 1944.

Byłem w obozie, w którym znajdują się Polacy, żołnierze siłą ubrani w mundury niemieckie, którzy dostali się do niewoli Sprzymierzonych w Normandji. Spędziłem wśród nich parę dni na długich rozmowach i obserwacji. Dominujące wrażenie ,jakie odniosłem z tego pobytu to — siła polskości, która bije z serc i myśli tych Polaków.

Poraz pierwszy zobaczyłem tych byłych jeńców na zbiórce. Szeregi ich stały wyrównane, karne, zdyscyplinowane. Rzuciwszy okiem po twarzach nie miałem wątpliwości, że to twarze nasze, polskie, takie jakie widywałem w mym macierzystym pułku, 57 p. p. w Poznaniu. Przeważnie to ludzie bardzo młodzi, w wieku od 20-25 lat. Są jednak nawet i młodsi, roczniki 1926 i 1927! Pochodzą głównie ze Śląska i Pomorza. Z poznańskiego niema prawie nikogo. Polacy ci do wojska pobrani zostali pod przymusem w znanych i nieraz już opisywanych tragicznych okolicznościach, przeważnie z tzw. trzeciej "Volksliste", chociaż często nawet i bez tego pozoru. Większość z nich do wojska powołana została we wrześniu ubiegłego roku. Jest jednak paru, którzy w wojsku niemieckim służą już od dwóch lat. Jest też spora liczba żołnierzy, którzy w wojsku znaleźli się dopiero w kwietniu br. Przygniatająca większość żołnierzy, których widziałem to robotnicy rolni. Na palcach policzyć można ludzi ze średnim wykształceniem. Wśród nich spotkałem księdza wyświęconego w grudniu 1939 roku na Śląsku, który w wojsku niemieckim służył jako szeregowy.

Połowa widzianych przeze mnie żołnierzy nie zna języka niemieckiego, poza słownictwem czysto wojskowym. W mowie i piśmie zna język niemiecki, chyba tylko jedna czwarta.

Żadnych śladów wpływów ideologji hitlerowskiej nie znalazłem.

Jakże mogło być zresztą inaczej. Żołnierze ci nie mogli ulegać wpływom hitlerowskim — jak twierdzą niektórzy oszczercy, czerpiący natchnienie z wiadomych źródeł — nie znając języka niemieckiego i przepojeni nienawiścią do wszystkiego, co niemieckie.

W oddziałach niemieckich Polacy są rozrzuceni wszędze. Byli na froncie rosyjskim (spotkałem jednego, który walczył pod Stalingradem, gdzie został ranny, co go uratowało), są w Norwegji, Grecji, całej Francji; służą też w marynarce wojennej. Były oddziały, gdzie Polaków znajdowało się 50 procent; przeważnie jednak było ich mniej. Oficerowie niemieccy traktowali ich źle. Polacy jednak zachowywali się ambitnie i nie zapierali się swojej polskości, żyli tylko między sobą i mówili stale wbrew rozkazom, po polsku. W czasie przerw śpiewali polskie piosenki. Niemcy bezsilni zakazywali tylko śpiewania pieśni patrjotycznych. "Mimo to jednak—opowiadał mi jeden z żołnierzy—na zakończenie zawsze śpiewaliśmy "Pod Twoją Obronę"...

W Polsce Zachodniej nie można spowiadać się po polsku. Odbywają się więc tylko spowiedzi ogólne. W wojsku niemieckim Polaków, którzy we Francji chodzili do kościoła karano. Modlitwa była prześladowana — "Modliłem się więc zawsze pod kocem, jak Matka mnie uczyła" — zwierzył się mi 18 letni żołnierz. Obok patrjotyzmu, religijność to druga cecha żołnierzy, których widziałem. — Przystępują oni masowo, po kilka dni z rzędu do Komunii Św. i ciągle mają jakieś sprawy, wątpliwości religijne, które przedstawiają księżom kapelanom.

Wielu z tych żołnierzy było w Polsce, na urlopie na wiosnę tego roku. Opowiadania ich o sytuacji na ziemiach zachodnich, pokrywają się z tym, co tutaj wiemy. Całą inteligencję, wszystkie elementy przywódcze wyniszczono. Pozostawiono tylko siły robocze, które prowadzą ciężki, beznadziejny żywot, pod ustawicznym terorem. Społeczeństwo Ziem Zachodnich, ci co pozostali, dalecy są jednak od złamania. Tam gdzie mogą szkodzą Niemcom, a pomagają swoim, czy jeńcom brytyjskim. Słuchanie radja polskiego z Londynu jest na porządku dziennym. Wszyscy w Kraju wiedzą o działalności Rządu R. P. i walkach żołniorza polskiego w Norwegji, Francji, Libji i Wielkiej Brytanji. W nich kraj opiera swą całą nadzieję.

Gdy rozpoczęła się inwazja, a raczej — gdy rozpoczęła się wojna — bo tak wszyscy ci żołnierze określają dzień 6 cerwca br., pierwszą myślą każdego z nich było, jak dostać się do niewoli, jak przejść na stronę Sprzymierzonych, a więc — polską.

Wielu poprostu w ogólnym zamieszaniu, jakie zapanowało w pierwszych dniach inwazji po stronie niemieckiej dostało się do niewoli. Inni mieli trudne przeprawy. Strzelano do nich z obydwóch stron. Były chwile, że wydawało się, iż nie dojdą do celu. Trzeba było nielada odwagi i zaparcia się w dążeniu do wolności. Inni znów nakłaniali do poddanie się swoich towarzyszy broni—Niemców, uzasadniając, że niewola w Kanadzie jest nie zła, że lepiej żyć niż polec itp: Wielu Niemców usłuchało i razem przechodzili na drugą stronę. Rozmawiałem z jednym takim żołnierzem, który poddał cały bunkier wraz z podoficerem niemieckim i z załogą złożoną z 19 Niemców i 4 Polaków.

Słuchając tych opowiadań Polaków, którzy jeszcze parę dni temu chodzili w mundurach niemieckich, trudno nie dojść do wniosku, że Polak może znieść bardzo wiele cierpień i ciężkich **doświadczeń, ale zawsze jest w nim tyle sił żywotnych i wiary, że zgnieść ducha polskości nic nie potrafi. "W wojsku niemieckim najbar**dziej martwiło mnie — mówił jeden z tych żołnierzy — że mogę zginąć nie wiadomo poco i za co. Teraz wiem, że Polsce mogę się jeszcz przydać. To moja wielka radość i nadzieja!

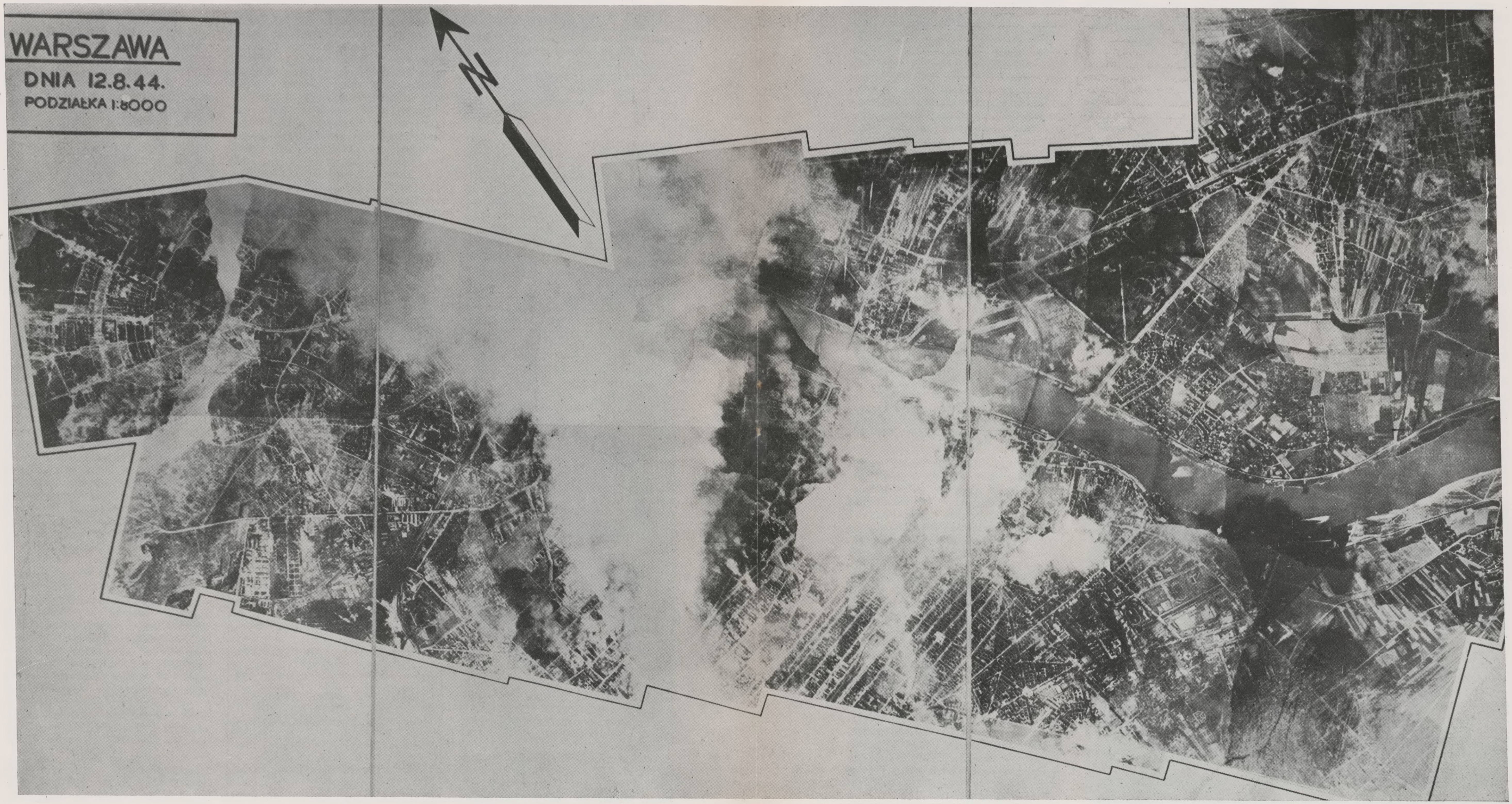
Gdy opuszczałem obóz — z daleka doszły mnie słowa pieśni, śpiewane przez byłych żołnierzy "Wehrmachtu":

"Morze, Polskie Morze, mamy rozkaz Cię utrzymać"....

W POPRZEDNIM 38 (90) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO

Niepodległość i biologja; A. R. P.: Nam starczy ducha; Kazimierz Wierzyński: Czemże ja jestem; Jerzy Bazarewski: Nokturn Warszawski; Irena Lorentowicz: A gdy będzie słońce i pogoda; Antoni Słonimski: Warszawie; Aleksander Janta: Do Przyjaciela Anglika; William Henry Chamberlin: Poland: A Moral Issue; Opinje i zdarzenia.

WARSZAWA W DNIU 12-go SIERPNIA



(FOTOGRAFJA PŁONĄCEJ WARSZAWY ROBIONA Z AEROPLANU)

WITOLD DOMAŃSKI

PRZYGODA W PIEDIMONTE

Przygoda por. Jerzego D. i jego dwóch towarzyszy rozegrała się przed miesiącem. Dziś jesteśmy już daleko od tamtych stron, choć wciąż bliscy tamtych wspomnień. Siedzimy w kilku na tarasie willi nadmorskiej i gdyby nie obraz domów z powybijanymi szybami i postacie żołnierzy na bulwarze,można by samemu uwierzyć, że jesteśmy bogatymi turystami, którzy przyjechali na wakacje do Włoch.

Ale jakże dalekie jest to, co usłyszycie, od urlopowej turystyki.

Dnia dwudziestego drugiego maja piąty bataljon zdobwał Piedimonte San Germano. Czołgi już przedtym przełamały linię stalowych umocnień niemieckich i kompania mogła zająć podstawę wyjściową tuż u podnóża miasta. Samo Piedimonte — jak wiecie — zbudowane jest na wzgórzu, frontem do szosy Nr. 6 a "plecami" do dość stromego urwiska.

Nie będziemy zagłębiać się w szczegóły. Natarcie szło przy silnym wsparciu ogniowym. Pluton ppor. D miał zaatakować Piedimonte od południa i zdobyć basztę, dominującą nad miastem. Aby do tej baszty dotrzeć należało sforsować poprzednio stanowiska niemieckie, rozmieszczone wewnątrz domów. Pluton wiedział na jaką idzie robotę. Monte Cassino nauczyło wielu praktycznych sztuczek. Rzeczywistość jest najlepszym nauczycielem, a żołnierz pojętnym uczniem.

Pluton podzielony został na dwie grupy uderzeniowe. O godzinie 14.10 wyruszyły obie: "lewa" ppor. D i "prawa" kpr. K. Pierwsza miała dotrzeć do baszty z lewej strony, a druga z prawej. W skład grupy ppor. D. wchodzili: kpr. L, st. strz. podch. T., strz. I. i strz. D.

(Opis tej przygody usłyszymy z ust samego dowódcy. Rozmowie przysłuchuje się kilku kolegów porucznika. Cała rzecz dzieje się na krótkim postoju, w pościgu za odstępującymi Niemcami. Doskonałym akompanjamentem jest głuchy grzmot dział. Front, który przeszedł tędy przed kilku dniami znajduje się zaledwie o kilkanaście kilometrów. Niemcy bronią się.)

Ppor. Jerzy D. jest szczupłym mężczyzną średniego wzrostu o nieco zapadniętych policzkach i bardzo żywych oczach.

— O czternastej dziesiąć wyskoczyłem z ukrycia razem z resztą naszych ludzi i wykorzystując naszą górską zaprawę rozpoczęliśmy wspinaczkę na strome tarasy. Droga do miasta, jak pan sobie przypomina, biegnie zakosami, które musieliśmy trawersować. Artyleria nadwyrężyła częściowo zbocza, co ułatwiało robotę. Jak wyglądała ta wspinaczka w praktyce? Pierwszy z żołnierzy przy pomocy kolegów wchodził na wierzchołek tarasu a potym wciągał następnych. Taka "łańcuchowa" metoda pozwoliła nam sforsować zbocze bez wywołania ognia. Niemcy nas wogóle nie zauważyli.

Wiedziałem gdzie jesteśmy. Staliśmy przed kompleksem połączonych ze sobą domów, sąsiadujących z "klasztorem" i basztą. Po krótkiej chwili odezwał się pierwszy Spandau. Zaraz po tym lunął na nas skoncentrowany ogień i zmusił do rozproszenia się.

Wyjście z sytuacji znalazło się szybko. Strz. Iw. zauważył o kilkanaście kroków dwie belki zwisające z poddasza budynku, wróżące dostęp do wnętrza. Ponieważ nie było nic lepszego do zrobienia, wydrapaliśmy się po nich na pierwsze piętro. Był w tym czysty przypadek i trochę intuicji, że obraliśmy tę drogę. Wskutek tej decyzji nastąpiły wszystkie późniejsze wypadki.

(Jak czytelnicy przekonają się szybko, zdarzenia te były dostatecznie koszmarne. Jeśli nawet założymy, że każdy z nas ma dość przeżyć, i że każde przeżycie wycisnęło na nas swoje piętno, to na twarzach uczestników tej dzikiej awantury, ślad jej pozostał szczególnie silny.)

— Byliśmy w długim korytarzu, prowadzącym niewiadomo dokąd. Jeśli znamy część czynników działamy ostrożnie, nie mając ich zupełnie człowiek postępuje beztrosko. Z takim nastawieniem wyszliśmy na spotkanie przygody. Powiedziałem tylko "Nie strzelamy jak nie widzimy." Gdy doszliśmy jednak do końca korytarza, usłyszałem za drzwiami jakieś szmery i z normalną w takich sytuacjach niekonsekwencją puściłem w tym kierunku serję z Thompsona. Wślad za nią wpadliśmy do środka. Strzały były celne. Dwóch Niemców leżało na ziemi. Skręcając w lewo korytarzem dostrzegłem może o cztery kroki następnych dwóch Niemców, uciekających wgłąb. Widzi ich również kpr. L., strzela dwa razy i za każdym razem zacina mu się Thompson. Ja znów w tym momencie zmieniam magazynek i wyobraża pan sobie jaki szlag mnie trafia. Taki pech! Krzyczę "strzelać do nich", to wszystko razem trwa ułamek sekundy, pokazują się następnoi dwaj Niemcy i równocześnie padają strzały kpr. L i podch. T. Jeden Niemiec pada jak podcięty, drugi krzyczy "mein Gott" i znika za murem. Biegniemy wślad za nim. Gdzieś obok musiał być bunkier i zaszliśmy jego załogę od tyłu. Nie było jednak czasu na oględziny. Trzeba było wykorzystać moment zaskoczenia, skoro tak dobrze nam poszło.

Klucząc po tm labiryncie wypadamy na dziedziniec klasztorny. Sytuacja jest taka, że Niemcy zaalarmowani strzałami biegają po dziedzińcu jak pomyleni. Jedni w hełmach, drudzy bez hełmów. Gnali wszyscy na stanowiska. Widząc to wszystko krzyczę: "Haende hoch!" Nie miało to wiele sensu, bo dostajemy ogień z kilku Spandau'ów i na dokładkę zostajemy obrzuceni granatami. Momentalnie zrobiło się piekło. Tyle naszego szczęścia, że szliśm krawędzią tarasu i granaty, rzucane za daleko zsuwały się po zboczu nie czyniąc nam szkody. Od ognia kaemów chronił nas niski murek. Ale mimo to cud boski, że nikt nic nie oberwał. Ledwo to pomyślałem, kiedy spostrzegam jak obok strz. Dod. upadł granat. Zdążyłem krzyknąć mu "granat koło nogi", chłopak odbiegł trzy kroki, padł i w tym momencie granat detonował. Ranił go lekko. Dod. wycofał się, obrzucony przez cały czas granatami Dotarł szczęśliwie do grupy kpr. Kota, a z nią wycofał się do kompanii. Kpr. Kot poległ wkrótce potym, osaczony pod basztą.

Szliśmy wciąż w kierunku baszty, nie zdając sobie sprawy w jaką matnię się pakujemy. W pewnym momencie dostrzegłem w zachodniej ścianie baszty otwór prowadzący do wnętrza. Włażę pierwszy, reszta za mną. W środku coś niemile zachrzęściło nam pod nogami. Gdy wzrok przyzwyczaił się do ciemności, przekonaliśmy się bez większego zachwytu, że stoimy na ogromnej stercie szkieletów. Byliśmy wewnątrz kostnicy klasztornej, do której widocznie od kilku stuleci składano ciała zakonników. Otwór wejściowy był zarazem jedynym otworem tego aparatamentu. Wpadliśmy w ładną pułapkę, szkoda mówić. Nie czekając ani chwili wyskoczyłem na dziedziniec z resztą grupy. Natychmiast chlusnął po nas ogień Spandau'ów i posypały się granaty. Droga odwrotu była już zdecydowannie odcięta. Podch. T. został ranny. Na szczęście udało mu się zeskoczyć o jeden taras niżej i dołączyć do grupy kaprala Kota. Do baszty wróciło nas trzech.

Zostaliśmy osaczeni. Postanowiliśmy jednak sprzedać się drogo. Gdy ochłonęliśmy z pierwszego wrażenia

rozpocząłem systematyczne oględziny komory, która prawdopodobnie miała stać się naszym grobem Baszta była okrągła o średnicy około sześciu metrów. Przeciętna grubość ścian wynosiła mniejwięcej metr. Izba pozbawiona była zupełnie okien, natomiast w sklepieniu zauważyłem otwartą klapę żelazną. Ponieważ stos piszczeli podchodził pod sufit, zakręciliśmy ją natychmiast. Na szczęście klapa zamykała się od wewnątrz. Był już czas najwyższy, bo zaraz potym usłyszeliśmy kroki nad głowami i przekleństwa. Oj, nawrzucali by nam ładnych prezentów przez takie okienko!

Sterta piszczeli i całych kościotrupów musiała liczyć od dna ładnych kilka metrów. Na wierzchu leżały świeże trupy żołnierzy niemieckich, straszliwie wprost cuchnące.

Nie potrwało długo, kiedy do środka posypały się pociski spandauów. Był to wstęp do pertraktacji. Tym razem Niemcy wystąpili z propozycją "Haende hoch und heraus". Nie odpowiadamy — rzecz jasna. Nie tak dawno my zwracaliśmy się do nich w ten sposób. Mija pół godziny i strzały cichną zupełnie. Czekamy co będzie Pogodziliśmy się z myślą, że mamy być zabici, pozostała tylko do rozstrzygnięcia kwestja — w jaki sposób? Najbardziej prawdopodobne było, że wysadzą nas w powietrze. Ale po namyśle orzekliśmy, że tego nie zrobią. Nad nami mieściły się sypialnie żołnierskie, a żołnierz nie lubi niszczyć chałupy w której mieszka. Liczyliśmy jeszcze na nasze natarcie. Jak zdobędą basztę — będziemy wolni. Ale czas mijał i odgłosy walki przycichły zupełnie. Zrozumieliśmy że natarcie załamało się. Dla zabicia czasu oglądam gołe czaszki dociekając po ich rozmiarach zawartości rozumu u byłych właścicieli. Jest coraz makabryczniej. Niemcy znów krzyczą "Haende hoch und heraus", "Gehen sie zu Mause". Nie odpowiadamy. Zdwajamy natomiast czujność. Strz. Iw. czuwający przy otworze posłyszał w pewnej chwili jakiś cichy szmer, jakby ktoś czołgał się powoli w naszą stronę. Zaraz potym zza muru zaczął wyłazić Szwab. Iw. zobaczył nogę do kolana i wystrzelił. Natychmiast usłyszeliśmy jęki i stek okropnych przekleństw. Musiał dostać w girę.

Po tym doświadczeniu zawaliliśmy wejście do kostnicy kamieniami kładąc nawierzch kilka świeżych trupów niemieckich. Było to takie prowizoryczne zabezpieczenie przed odpryskami ze spandau'ów. Obrzydliwa robota ale opłaciła się, ponieważ Niemcy zaczęli wrzucać nam dośrodka granaty. Normalnie bylibyśmy wykończeni, ale pan rozumie śmieszność tej makabry: granaty przelatywały między piszczelami jak przez sito i detonowały na spodzie nie robiąc nam żadnej szkody. Grzechot wśród kościotrupów był straszny.

Po pewnym czasie przestało nas to jednak bawić, wobec czego cofnęliśmy się wgłąb baszty, wybraliśmy ze czterdzieści szkieletów, robiąc z nich coś w rodzaju przedpiersia. Sami schowaliśmy się do dziury po wybranych kościotrupach.

(Dziwnie nie pasowało to niesamowite opowiadanie do spokojnego lazuru nieba, tafli morza i złotego słońca. Ppor. D. przerwał na chwilę dla zaczerpnięcia tchu. Zapaliliśmy papierosy. Na horyzoncie bielił się nieruchomy żagiel łodzi rybackiej, zagubionej w lazurze.

— Popatrz Jerzy na tę papierośnicę. To były czasy.

Papierośnica pochodziła z Egiptu, Rysunek na niej wyobrażał starożytny rydwan bojowy i walkę wręcz.

D. poruszł głową bez przekonania.

— Jabym był wtedy grubo przegrany z moją budową. Wolę jak jest.)

"Każde poruszenie uwięzionych w baszcie powodowało ogień Spandau'ów. Niemcy słyszeli chrzęst szkieletów.

— Podtrzymywała nas jeszcze na duchu nikła nadzieja ponownego natarcia. Widoki na powodzenie były jednak miezrne. Oglądane przez nas umocnienia mogły oprzeć się swobodnie każdemu atakowi piechoty. Rosnące w nas uczucie myszy, schwytanych w pułapkę, powiększał nieustanny ogień na basztę naszej własnej artylerji. Wzięła ona sobie widocznie za punkt honoru powykończać nas tutaj. Po naszej stronie nikt widocznie nie przypuszczał, że kilku własnych ludzi jest w baszcie.

Czas płynął bardzo powoli. Byliśmy we trzech: kpr. L, strz. Iw. i ja. Towarzystwo nie odznaczało się elokwencją, rozmowni byli natomiast Niemcy. Gadali, łażąc nam nad głowami i obok nas. Słyszeliśmy wyraźnie każde słowo.

Pod wieczór zaczęło walić po nas jakieś działo własne, prawdopodobnie z czołgu. Baszta dostała nagle febry. Zaczynamy liczyć strzały. Przy piątym mur zostaje przebity. Ze sklepienia sypią się na nas kawały muru, czniąc wszystko, co w ich mocy, aby powiększyć grono nieboszczyków w tym lokalu.

Moment był zgoła nieprzyjemny, kiedy jednak kurz opadł i wygrzebaliśmy się z pod piszczeli serca zabiły nam żywiej. W murze widniała dziura.

Nasze "anioły opiekuńcze" nanowo zwróciły się do nas, tym razem z troskliwym zapytaniem czy mogą przysłać sanitarjusza. Puściłem wślad za nimi dwie malutkie seryjki.

Kpr. L. zaczął badać dziurę, która okazała się za mała. Postanowiliśmy rozszerzyć ją i zwiać do swoich. Nadzieje te okazały się jednak przedwczasne. Dziura była pod obserwacją z naszych stanowisk i kiedy kpr. L. zabrał się do pracy dostaliśmy piekielnego ognia. Nasi przypuszczali najwidoczniej, że w dziurze siedzi niemiecki obserwator. Trzeba było zaniechać roboty.

(Całe to opowiadanie sprawia wrażenie, jakby spadło z nieba. Gdyby ci trzej zginęli, co powinno nastąpić



rys. Zygmunta Turkiewicza

Przeciwnatarcie na St. Angelo

według wszelkich praw logiki, niktby nie dowiedział się jakie nadzieje i zwątpienia miotały tymi ludźmi. Przychodzi na myśl, że gdyby zabici mogli mówić, dużo usłyszelibyśmy podobnych historji).

Zapadła noc. Słyszeliśmy wyraźnie komendy niemieckie i strzały moździerzy. Stanowiska znajdowały się tuż koło nas.

Zjedliśmy porcję "R".

Około pierwszej w nocy Niemcy założyli u wejścia do naszej kostnicy jakieś miny czy pułapki. Przez cały czas zastanawialiśmy się dlaczego nie wykończyli nas jeszcze miotaczami płomieni. Ale widać nie mieli ich pod ręką.

Wreszcie noc minęła i około piątej polska artylerja zaczyna "opukiwać" nas pojedyńczymi strzałami. Ogień trwa przez całe przedpołudnie potężniejąc nieustannie. My w naszej pułapce przeżywamy całe piekło. — Wreszcie około g. 14ej dostajemy "volltreffera". Jeden z pocisków trafia w górną krawędź izby. Kamienie, trupy i szkielety walą się na nas. Ale kiedy kurz opadł widzimy, że dziura jest rozszerzona, a cały klasztor spowity dymem i kurzem.

Było wpół do trzeciej. Okazja do ucieczki. Teraz albo nigdy myślał każdy z nas, wiejąc przez otwór. — Ogień własnej artylerji przeskoczyliśmy z szybkością strzał, a Kusociński i Nurmi w porównaniu z nami to pętaki. Kiedy wpadliśmy na podstawę wyjściową nie zastaliśmy już nikogo ze swoich. Była zato kompania 4ta a w jej rejonie dowódca natarcia płk. Bob. Nie zdążyłem jeszcze odsapnąć a już musiałem składać sprawozdanie o rozmieszczeniu stanowisk niemieckich i o sytuacji nieprzyjaciela. Mówiąc, szczypałem się równocześnie w rękę, czy to prawda że żyję i jestem tutaj.

(Skromność ppor. D. kazała mu przemilczeć, że wyniki tego raportu okazały sę nieocenione. Następnego dnia artylerja zabrała się do Niemców niszcząc bunker za bunkrem. Niemcy szybko zaprzestali oporu i poddawali się masowo. Piedimonte padło. Przyp. W. D.)

Nie trzeba dodawać, że powrót trzech kolegów, uznanych za nieboszczyków stał się w kompanji hasłem do powszechnej radości. Wieczorem tego wielkiego dnia dobre wino włoskie lało się szerokim strumieniem, a trzej karpatczycy, którym nie udało się powiększyć załogi kostnicy w Piedimonte, aż do dziś wykazują nieokiełznany entuzjazm do wszystkich ziemskich uciech.

Życie jest piękne — taki morał wynieśli "absolwenci" tej krótkiej, ale jakże pouczającej lekcji z Piedimonte.

MARIAN RACZYŃSKI

"THE NAZI CONQUEST OF DANZIG"

*"The Nazi Conquest of Danzig" by Hans L. Leonhardt — University of Chicago Press — Chicago, Illinois — Pp. XVI. 363 — Price 18s. 6d.

Praca p. Leonhardta jest niewątpliwie interesującym przyczynkiem do nowoczesnej historji Gdańska. Opracowana starannie, może nawet zbyt szczegółowo, jeśli chodzi o jasność obrazu, oparta o wiele z dostępnych dzisiaj źródeł, daje pogląd na proces penetrowania idei i systemu nacjonalsocjalistycznego w życie gdańskie i na powolne, ale stałe wzrastanie temperatury Wolnego Miasta, tego w pewnym sensie — termometru, wskazującego gorączkę europejską.

W całej swej pracy jednak p. Leonhardt — wykazujący skłonność do analizowania raczej niż syntetyzowania zjawisk, — popełnia olbrzymi błąd, zniekształcający całkowicie prawdziwy obraz i Gdańska i rozwoju wypadków, a to przez pominięcie milczeniem areny politycznej Europy, z całą kolekcją większych i mniejszych partnerów i przeciwników, zainteresowanych w Gdańsku bezpośrednio, lub pośrednio, rzeczowo lub emocjonalnie, gospodarczo, czy politycznie, cy wreszcie obawiających się o ewentualne konsekwencje w wypadku pęknięcia tego "wrzodu" Europy.

Autor ogląda problem gdański oczami krótkowidza, który od drzwi wejściowych do Notre Dame stara się ocenić konstrukcję katedry. Jego pracowicie napisana książka rozpatruje wiele interesujących fragmentów i kilka ważnych rozddziałów życia gdańskiego; nawet jednak w spisie rozdziałów brak jednego — najważniejszego — mianowicie rozdziału p. t. **"Europa po Wersalu"**, czy **"Sytuacja międzynarodowa po Wielkiej Wojnie"**. Ten rozdział bowiem jest właściwą bazą całej późniejszej historji Wolnego Miasta.

Próbując za autora spełnić pracę rekapitulacji wniosków — nasuwających się na myśl po przeczytaniu książki, wydaje się, że gdyby "czarne charaktery" dramatu (ustawione zresztą przez autora w jednym rzędzie) pp. Forster, Greiser, Beck, Burchhardt, Eden były poparły gdańską opozycję dobrych, szlachetnych i głęboko demokratcznie myślących Niemców w Gdańsku, to wszystko poszłoby innemi torami i nie bylibyśmy dzisiaj — od lat już — w stanie wojny.

Nie będzie prawdopodobnie od rzeczy przypomnieć autorowi, że problem gdański zarówno od strony Berlna, jak i od wnętrza Gdańska był rozwiązywany przed i po dojściu do władzy przez Nazi identycznie pod względem celowości, różnie natomiast pod względem taktycznym. — Stresemann w naruszeniu statusu gdańskiego upatrywał wstęp do rewizji Wersalu, — atakował więc problem gdański od wewnątrz i od zewnątrz. Dążył do wytworzenia w świecie przekonania i atmosfery, że **"taki stan rzeczy nie da się w Gdańsku utrzymać"** o ile Europa chce żyć w pokoju. Trzeba stwierdzić, że wysiłki Stresemanna, — popierane zresztą bardzo starannie przez wszystkie stronnictwa polityczne w Gdańsku,— uwieńczone były niemałym sukcesem. Ktoż z zainteresowanych nie pamięta jak w mózgi polityków i politykierów zachodu Europy zapadało coraz głębiej i wyraźniej przekonanie, że problem gdański, a z nim i problem t. z. "korytarza polskiego" musi być poddany rewizji. Polityka Stresemanna była polityką ograniczonych celów, realizowanych w ramach ustalonego prawa i porządku międzynarodowego.

Polityka Hitlera natomiast była polityka nieograniczonych celów, realizowanych dowolnemi środkami. Stąd Gdańsk nie był dla niego zasadniczym wyłomem w konstrukcji prawnej Europy i początkiem walki o restytucę pozycji Niemiec w świecie, a tylko emocjonalnym fragmentem w imperjalistycznym planie podboju kontynentu.

Jak by nie było, w obu wypadkach, hasło "zuruck zum Reich" było identyczne, i to nie "Vorposten" gdański wydrukował je pierwszy na wstępnej stronie, a na długo przed nim powtarzali je w kółko szlachetni junkrzy,, dobrzy "centrowcy" i demokratyczni socjal-demokraci z Rzeszy, Gdańska, czy Prus Wschodnich.

Wola jednak, program, taktyka, wysiłki Berlina, czy Gdańska nie przesądzały o niczem tak długo, jak długo ze strony Mocarstw zachodnich, obojętne czy wprost w Londynie i w Paryżu, czy też w ich ligo-narodowym "dependence genewskem" istniała wola utrzymania ustalonego po woj-

nie 1914-18 porządku rzeczy. Ta właśnie wola, w połączeniu z gotowością do świadczenia na korzyść pokoju Europy i świata była kluczem do pokoju. Jej brak zaś — kluczem do wojny.

P. Leonhardt zdaje sobie sprawę z tego stanu rzeczy. Pisze nawet, że **"in a shrinking world Danzig reflected faithfully the decay of European politics"** i **"Instead of pursuing a firm policy of collective action, they embarked upon a weak sourse of divided inaction"**. Słuszne te jednak twierdzenia rozpływają się w przewodzie myślowym książki, która na pierwszy plan wysuwa oskarżenia w stosunku do czynników nazistowskich, w stosunku do Polski i w stosunku do Ligi Narodów.

Nie ma wątpliwości, że to wszystko miało swoje znaczenie — punktem jednak decydującym była wola zwycięskich aljantów. Zadecydował zaś brak tej woli. Że przypomnę kilka tylko punktów, będących etapami wojny w pokoju, wstępem do II-ej wojny światowej. A więc dozbrojenie, zrzucenie kontroli nad Bankiem Rzeszy, Sara, Nadrenja, Austrja, Czechy i Słowacja, Kłajpeda i Monachjum Berchtesgaden i sankcje włoskie, interwencja hiszpańska itp., itp.

Wszystko wskazywało na bezwład, na próbę "wymigania się", — w najlepszym zaś wypadku na próbę skierowania nadchodzącej opresji w innym niż własny kieruneku. Jeśli zaś w tych tragicznych wysiłkach nawet zwycięskie mocarstwa starały się prze sunąć z pozycji "zakąski" na pozycję "deser"' — to jakież jest prawo i jaka sprawiedliwość w oskarżaniu Polski, która pierwsza rzuciła hasło walki o morale w imię zapoznanego przez lata na zachodzie honoru.

Ale wróćmy do tez p. Leonhardta. Jedną z jego tez jest próba stwierdzenia, że po tej wojnie, zakończonej zwycięstwem Zachodu, Gdańsk powinen powrócić do roli Wolnego Miasta, rządzonego przez dobrych, demokratycznych Niemców, którzy nigdy nie mieli nic wspólnego z Rzeszą nacjonal-socjalistyczną. Należałoby się zastanowić, czy ta właśnie teza nie jest początkiem i końcem, przyczyną i powodem napisania książki. Jeśli bowiem p. Leonhadt cytuje słowa Fryderyka Wielkiego, że **"whoever possesses the mouth of the Vistula and the city of Danzig will be more master of Poland than the king who rules there"** (str. 271), to nie może on nie zdawać sobie sprawy, że słowa te zawierają istotną prawdę, — prawdę, która w różnej formie wprawdzie, ale w tym samym sensie materjalizowała się w ciągu kilku wieków. Obawiam się, że próba odrodzenia neopatrycjatu gdańskiego, lansowana przez p. Leonhardta jest nieco spóźniona w epoce.

Weźmy ten temat od innej jeszcze strony. P. Leonhardt jest demokratyczny i anti-nazi. Zgoda. P. Leonhadt wierzy w rolę Gdańska jako czynnika złożonego (skomplikowanego) pomiędzy zasadą samostanowienia narodowego a prawem dostępu wielkich kolektywów ludzkich (narodowych) do słonej wody. Zgoda. P. Leonhardt wreszcie jest lokalnym patrjotą gdańskm. Nikt nie może mu tego wziąć za złe. Zgoda.

Jedynie pytanie jakie chciałbym zadać p. Leonhadtowi to — czy rzeczywiście już nietylko dziesiątki miljonów obywateli polskich musi gospodarczo uzależnić swe życie od 300 tysięcy gdańszczan (nawet w wypadku wytworzenia się naprawdę, a nie "na niby" stanu neo-patrycjatu gdańskiego), ale nawet ta cała południowo-północno-wschodnia część Europy, która nolens volens musi dążyć do morza?

Polemika jednak zaprowadziła by nas zadaleko. Książkę p. Leonhardta można by było omawiać tygodniami. Na to zaś nie ma ani czasu, ani papieru. Próbujmy więc skrócić ten przyczynek recenzyjny do oceny pracy p. L.

Myślę, że nie będę daleki od prawdy twierdząc, że p. L. spełnił wielką i zasługującą na uznanie pracę w zebraniu materjału do nowoczesnej historji Gdańska.

Myślę równocześnie, że nie popełnię wielkiego błędu twierdząc, że wnioski wyciągnięte przez p. L. — jak i układ książki — pozwalający czytelnikowi na wyciągnięcie wniosków — są potraktowane bardzo, za bardzo osobiście, za bardzo stronniczo, za bardzo propagandowo. Może nawet za bardzo po niemiecku. **"Zu wissenschaftlich"** i **"zu grundlich"** — albo w pobliżu tego.

To co tłomaczy p. L. całkowicie, to jego przynależnosc do "rasy". Bez ironji stwierdzam, że nie chcę w ten sposob obciążać p. L. w łatwy — polemicznie — sposób. Uznaję nawet całkowicie prawo p. L. do obrony interesów niemieckich. Gdybym był na jego miejscu, zrobiłbym niewątpliwie to samo.

Tak dalece jednak, jak wytłomaczony jest p. Leonhardt, nie może być nie tylko wytłomaczony, ale nawet zrozumiany p. A. J. P. Taylor — rzecznik nie wiadomo kogo, czy czego, niemniej recenzent książki p. Leonhardta w "The Manchester Guardian Weekly" — Vol. 47, No. 21, November 20, 1942.

Jeśli bowiem p. L. nie widzi konstrukcji Gdańska na tle całej kontynentalnej sytuacji politycznej i psychicznej, to trudno, — p. Taylor natomiast ma w tym kierunku i fizyczną możliwość oceniania z perspektywy i dość doświadczenia publicystyczno-politycznego, aby nie popełniać tych samych co p. L. błędów. Wydaje się, że jeśli się rzuca twierdzenie — **"here is the record of brave Germans ohstinately nad pedantically resisting Nazi terror; and here s ithe record of British evasion and timidity at the expense of others, a record of which we do well to remind ourselves before lecturing others on their shortcomings"** i jeśli się pisze **"The League of Nations, speaking through Mr. Eden, was more anxious not to offend Hitler than to fulfil its obligations"** — to nie można — o ile chce się pozostać w zgodzie z logiką — rzucać oskarżenia Polsce, że nie broniła gdańskich szlachetnych demokratów i (to między linjami) że przez to ponosi taką czy inną odpowiedzialność.

Wydaje się, że p. Taylorowi przydałaby się bardzo choćby krótka rozmowa z lordem Vansittartem.

OPINJE I ZDARZENIA

OŚWIADCZENIE POLAKÓW LONDYŃSKICH

"Tygodnik Polski" otrzymał następujące oświadczenie grupy wybitnych Polaków w Londnie, z panią generałową Heleną Sikorską, wdową po Wodzu Naczelnym i Premjerze R. P. na czele:

When the victorious advance of the Red Army brought about the liberation of Polish territories from the hands of the Germans, the Polish Government and the Commander-in-Chief in London instructed the Underground Army and Admnistration to intensify their struggle against the Germans, to reveal themselves to the Soviet forces and to offer them their help and cooperation. These orders, reported by the London press last January and February, were fully carried out. The attitude of the Soviet Army and Authorities is reflected in the following bulletins, broadcast for the past few days from that part of Warsaw which is now in the hands of the Polish Underground Army (anybody in the possession of a good wireless-set may listen to them):

August 17th 1944, 10 A. M. "In Tarnopol all men between the ages of 18 and 50 have been deported by the Soviet Authorities".

August 20th 1944, 10 A. M. "At Tomaszow, in the province of Lublin, the Soviet Authorities have arrested and deported to an unknown destination the Head of the local Underground Adminstration and his staff. Further arrests among officers of the Polih Underground Army continue in the whole province of Lublin. Conscription for the gen. Berling's Army is being carried out under compulsion".

August 21st, 1'44, 9 A. M. "In Biała Podlaska (to the West of the so-called Cuzon Line) the Soviet Authorities have arrested and deported the Command of the 34th Infantry Regiment of the Underground Army, the Mayor of the town, Mr. Kowalewski and the District Commander of the Underground Army have also been arrested. All the orders of the "Polish Committee of National Liberation" are executed by the N. K. W. D. (the Soviet political police). Conscription for the army is being carried out on a large scale".

These facts should be supplemented by more detailed information which has lately reached London from the Polsh Underground:

1. When the Soviet Forces were approaching Wilno, detachments of the Polish Underground Army attacked the Germans and drove them out from a large part of the town. In this way they rendered considerable help to the advancng Russians. When the Soviet armies had entered Wilno, the Polish detachments declared their readiness to cooperate with them in further struggle against the common enemy. A few days later, on July 17th, the Soviet Authorities arrested the officers commanding these detachments. The men were disarmed.

2. After July 20th the Soviet Authorities began disarming those detachments of the Undeground Army which had succeded in defeating and dislodging the Germans from the Kock-Lubartow region, despite the fact that they also had declared their readiness to cooperte with the Soviet Army.

3. From July 27th onwards the Soviet Authorities began disarming all detachments of the Underground Army which, having fought the Germans in Lublin and its neighbohood (to the West of the so-called Curzon Line) had come into the open and tried to cooperate in a friendly manner with the Red Army. Some officers and men were arrested and transferred to Majdanek, the notorious concentration camp set up by the Germans for the specific purpose of exterminating Jews. The staffs of the 8th and 9th Infantry Divisions of the Underground Army with general Halka, as well as some 200 officers and n. c. o.s together with 2500 men have already been sent there. The District Commander of the Underground Army Edward and the Head of the local Underground Administration Cholewa have been interned.

The arrested and imprisoned meet with brutal treatment at the hands of the warders who often resort to beating.

4. About August 1st the Soviet Authorities arrested and imprisoned several scores of officers of the Underground Army in Lwów, while the soldiers were disarmed. A few days later the Soviet Authorities arrested the Head of the Undrground Administraton in Lwów and imprisoned him.

5. In the region of Sandomierz and in the other Polish territories West of the so-called Curzon Line the disarming of the Polish Underground Forces is being methodically pursued.

6. In all Polish territories liberated from the Germans by the Red Army the Soviet Authorities are conscripting all men between the ages of 18 and 50. To the east of the so-called Curzon Line the conscription is being carried for the Soviet Army, while to the west of that Line the conscripts are drafted for the armies of gen. Zymierski and gen. Berling under the authority of the "Polish Committee of Natonal Liberation". This Committee has not been recognised by the Polish Government, nor can it claim the recognitin of any other allied or neutral government. It remains nothing but an agency of the Soviet Government.

All the above is taking place on Polish territory despite the fact that:

a. the frontiers which Poland possessed at the time of the conclusion of her alliances with Great Britain and France and at the outbreak of war have never been altered by any legal international act.

b. The British and American Governments do not recognize any territorial changes resulting from military operations and carried out without the consent of the populaton concerned.

c. Poland is the senior ally of Great Britain in this war.

It is easy to realize what feelings and reactions on the part of the whole Polish Nation these activities of the Soviet Authorities on Polish soil must necessarily evoke. It is obvious that this attitude of the Soviet Authorities is capable of discouraging even the best endeavours of the Poles to come to an understanding with their eastern neighbour.

It is equally obvious that nothing can break the Polish Nation's will to preserve its independence and to defend Poland's sovereign rights. If any proof be required, it is enough to recall the relentless five year's struggle of the whole Polish Nation against the German invader. In Poland resistance has centred around the Underground Army, organised late in 1939 under the direction of the Polish Government and forming an integral part of the Polish Armed Forces. Abroad, the exploits of Polish seamen, airmen and soldiers, fighting on all western fronts, are too well known to be here enumerated.

Since August 1st the action of the Polish Underground Army in Warsaw assumed the character of a general rising. Fighting aganst tremendous odds, with no help from Soviet Russia and with very slender and delayed help from British and American Allies (only a small amount of light arms and ammunition have so far reached Warsaw), this Army has been for over four weeks, and still is, in possession of a major part of the

capitau. At the same time it has managed to remain in constant contact with the rest of Poland and with London.

It would be difficult to find better evidence of the spirit which animates those fighting in the ranks of the Underground Army of their strength and organisation and of the support which they received from the whole civilian population.

Being mong the few priviliged Poles who find themselves in a free country, we consider it our duty to bring these facts to the knowledge of all those whom our Nation regards as their friends and allies.

London, 30 August, 1944.

— Helena Sikorska, 75 Gunnesbury Av. W. 5.

— Bp. Karol Radonski, Bishop of Włocławek, 2 Devonia Rd. W. 1.

— Bp. Sawa, Orthodox Bishop of Grodno and Nowogrodek.

— Ignacy Baliński, Chairman of Warsaw Municipal Council (1918-1927), Croft House Sudbury Suffolk

— Jerzy Iwanowski, Senator, Minister of Labour in Paderewski's Cabinet, 8 Warwick House Wimbledon.

— Dr. Bronisław Hełczyński, President of the Supreme Administr. Court, Profesor of Cracov Univ., 32 Eresby H., Rutland Gate SW 7.

— Tadeusz Kiersnowski, Member of the Polish National Council, V-Chairman Bar Assoc., Wilno, 38 Queens Gate Terrace SW. 7.

— Dr. Bogusław Kożusznik, Member of the Polish National Council, Chairman of the Assoc. of Polish Protestants, 421 Northwood Hall Hornsey Lane N. 6.

— Stanisław Jozwiak, Member of the Polish National Council, Merchant, 449 Oxford St., W. 1.

— Wojciech Jastrzębowski, Senator, Rector of the Academy of Arts, Warsaw, 38 Witchwood Av. Edgware Middx.

— Henryk Tenenbaum, Profesor of Warsaw College of Commerce, 33 Forset Court Edgware Rd. W. 1.

— Dr. Zygmunt Nowakowski, Chairman of the Union of Polish Journalists, 105 Hallam St. W. 1.

— Dr. Władysław Wielhorski, Lecturer of Wilno University, 16 Apprey Gardens, N. W. 4.

— Piotr Siekanowicz, President of the District Court in Tarnopol.

— Józef Godlewski, Senator, 7 Wilton Place S. W. 1.

— Juljusz Łukasiewicz, Former Polish Ambassador to France, 27 Heath Rise S. W. 15.

POLONJA AMERYKAŃSKA W OBRONIE POLSKI

Polonja Amerykańska zareagowała niezwykle silnie na los Warszawy i napewno przyczyniła się swą postawą do udzielenia wreszcie po tylu zmarnowanych tygodniach pomocy walczącej z bezprzykładnem poświęceniem naszej stolicy. Kongres Polonji, po długich miesiącach wypełnionych niezbędną pracą organizacyjną — wystąpił z całym szeregiem interwencji i deklaracji w sprawie Polski, które będą nazawsze tytułem do zasługi prezesa Rozmarka, sekretarza mec. Gutowskiego i wszystkich czołowych działaczy Kongresu pani Wołowskiej, pp.: Januszewskiego, Księdza Lipińskiego, Mikuty, Olejniczaka, Starzyńskiego, Węgrzynka. Bardzo piękne i mocne oświadczenia Komitetu Koordynacyjnego Zrzeszeń Polskich na Wschodzie szeroko potraktowały sprawę, której los Warszawy był tylko najjaskrawszm epizodem; Kongresmani pochodzena polskiego interwenjowali na temat całokształtu zagadnienia polskiego u p. Cordell Hulla bardzo wyraźnie i bardzo politycznie zarazem; wszystkie ważne dzienniki polskie w niezliczonych artykułach i wzmiankach zajęły stanowisko pełne zarówno odczucia polskiej krzywdy jak też troski o szersze nietylko polskie interesy. Taka zgodna i zdecydowana postawa Polonji — jest wyrazem nie jakichś przemijających nastawień i konjunktur, ale jej niezawodnej w przełomowych chwilach jedności moralnej, która jest zawsze źródłem prawdziwej siły. Warszawa i wszyscy Polacy "starokrajscy" nie po raz pierwszy odczuwają głęboką wdzięczność dla amerykańskich braci.

WSTRZĄSAJĄCY DOKUMENT

Nakładem "Poland Fights" i "Polish Labor Group" ukazała się graficznie bardzo niezwykle wydana broszura po angielsku "The Camp of Disappearing Men", opisująca na podstawie przeżyć z Oświęcimia, robotnika polskiego — te najstraszliwsze więzienie dziejów, to męczeństwo w historji bezprzykładne. Wydawnictwo — zawiera ilustracje, dzieło Jan Grotha, które są ze swej strony też niezwykłym dokumentem, uzmysławiającym piekło tego, co przeszły ofiary Oświęcima. Broszura, jak powiedzieliśmy, jest bardzo wybitnem dokonaniem nietylko propagandowem ale i graficznem. Poniżej zamieszczamy jeden z rysunków Jana Grotha przedstawiających okropności Oświęcimia.



TRUPY W OŚWIĘCIMIU

(rysunek z książki "The Camp of the Disappearing Men")

WYMOWNA MANIFESTACJA

Dochodzi nas wiadomość o bardzo pięknej manifestacji, świadczącej, że nietylko szeroka opinja brytyjska jak tego ostatnie tygodnie dowiodły — przejęta jest głęboko dziejącą się Polsce krzywdą — ale że również armja brytyjska, czuje potrzebę wyrażenia Polakom swego podziwu i braterstwa. Fakt, że jak postanowiono wszyscy żołnierze i oficerowie brytyjscy, którzy walczyli wraz z Polakami w kampanji adrjatyckiej—nosić będą na ramieniu odznakę II Korpusu, białą syrenę na czerwonem tle— jest bardzo niecodzienny i bardzo wymowny. Wskazuje on przedewszystkiem na to, o czem ciągle mówimy— że bynajmniej jak myślą małoduszni Polacy nie jesteśmy osamotnieni, tylko nie umiemy wyzyskać bardzo żywych nieraz dla nas sympatji: Pozatem zas piękny gest Anglików — jakże dumnych Anglików jest dla nas jeszcze jednym dowodem niezwykłego znaczenia dla naszej sprawy tego, co czyni, jak walczy nasze wojsko. Monte Cassino i Ankona, bohaterstwo i wytrzymałość dywizji Maczka, czyny spadochroniarzy w Holandji — jak Polska Podziemna, jak Armja Kawałkowskiego we Francji — są najważniejszymi atutami naszej sprawy, są wyrazem najmocniejszym i najbardziej autoratywnym tego, czem jest Polska i czego pragnie.

KSIĄŻKA KARSKIEGO NAGRODZONA

Drugi raz wtym roku, sukces jakże radosny, książka polska zostaje odznaczona przez The Book of the Month Club. Po wielkiem dziele powieściowem "Blessed are the Meek" Zofji Kossak należącym do działu zwanego przez Amerykanów nie bez akcentu "fiction"—nagrodzona zastaje książka, o której doprawdy powiedzieć można, że jeszcze ocieka żywą krwią: wielostronnicowy opis przeżyć Jana Karskiego w Polsce Podziemnej.

O książce tej która nosi tytuł "The courier from Poland" i wydana będzie za parę tygodni przez znaną bostońską firmę "Houghton Misslin Co." dochodzą nas oddawna zewsząd najbardziej pochlebne głosy; wszyscy którzy ją czytali są zdanie, że jej temat, epopeja ruchu podziemnego w którym uczestniczył cały naród, oddany został z nezwykłą sugestją i prawdziwym dramatycznym talentem literackim.

Sukces jaki tej książce zapewni przyznana jej nagroda — jest gwarancją że wszyscy w Ameryce dowiedzą się wreszcie prawdy o tem, jak naród poski walczył, ile poniósł ofiar i przez to zrozumieją wreszcie czem jest Polska.

Z sukcesu nowej książki cieszymy się jako Polacy i cieszymy się dla młodego autora, dzelnego bojownika o Polskę.

PREZYDENT HOOVER O POLSCE

"Dziennik Chicagowski" podaje sprawozdanie z obiadu wydanego na cześć prezydenta Hoovera w Chicago Club przez p. Chauncey MacCormick. Przytacza takie oto fragmenty z jego mowy:

"Wygląda tak, mówił on, że Stalin otrzymuje, co tylko chce. Ustanawia rząd komunistyczny w Polsce, zabiera ziemie polskie i decyduje o losie krajów bałkańskich. Jeśli nie nastąpi zmiana, Polska może wyjść z tej wojny pokrzywdzona.

"Tak zwana linia Curzona stawia Polskę w pozycji zależnej ekonomicznie i nie daje możności jej rozwoju na przyszłość. Taka Polska nie będzie się mogła ostać.

"Naród Polski powinien mieć możność wyboru własnego rządu, a nie być zniewalanym do przyjęcia rządu narzuconego lub narzucającego się.

"Przyszłość Polski zależy od Polonji Amerykańskiej, która powinna zażądać od obu kandydatów: Prezydenta Roosevelta i gubernatora Dewey wyraźnego oświadczenia, jakie zamierzają zająć stanowisko wobec faktu, że Stalin chce decydować o jej losie. I nie należy zadawalniać się ogólnikami, lecz żądać jasnego określenia swego stanowiska.

"Jeśli Polska zostanie pomnejszona i skrzywdzona, naprózno toczymy wojnę, gdyż będzie to zaczątkiem nowej, może jeszcze straszniejszej wojny."

JESZCZE JEDEN PROBLEM SZKOŁY POLSKIEJ NA WYCHODZTWIE

We wszystkich niemal środowiskach ludności polskiej, lub polskiego pochodzenia, od wielu lat były i są czynne polskie szkoły dokształcające, które wraz ze szkołami parafialnemi wychowują liczne zastępy młodzieży amerykańskiej urodzonej z polskich rodziców.

Na tym niezmiernie ważnym odcinku kulturalno-oświatowym naszego społeczeństwa daje się obecnie odczuwać dotkliwy brak ludzi, którzy by mogli i chcieli podjąć się obowiązków nauczycieli. Centrala Szkół Polskich Dokształcających w Ameryce, której siedziba mieści się pod Nr. 19-23 St. Mark's Place, New York 3, N. Y. po raz pierwszy w swej historji zwraca się z publicznym apelem do tych wszystkich osób, które kochają młodzież i znajdują satysfakcję w pracy wśród tej młodzieży, by skierowały swe zgłoszenia do Centrali celem ewentualnego objęcia stanowisk nauczycieli.